

Nadelhorn (4327 m) czyli jak wejść na czterotysięcznik – krótki poradnik

Krótki poradnik

Przyjeżdżamy do miejscowości Saas-Fee i parkujemy na dużym, piętrowym parkingu zaraz na początku miejscowości. Idziemy przez miasteczko aż do kościoła, za którym skręcamy w prawo na szlak do schroniska. Szlakiem idziemy od 4 do 5 godzin (można skorzystać z kolejki na Hannig i skrócić jeszcze ten czas o godzinę) i docieramy do schroniska Mischabelhütte (3340 m).

Następnego dnia (niekoniecznie wczesnym rankiem) wędrujemy stromo pod górę i docieramy do lodowca. Tu zakładamy raki i podążamy wydeptanym śladem przez łatwy lodowiec aż docieramy do przełęczy Windjoch (3850 m). Dojście tutaj zajmuje mniej jak 2 godziny. Skręcamy w lewo i idąc granią Windgrat docieramy do skał przy wierzchołku. Tutaj, po krótkiej i łatwej wspinaczce stajemy przy krzyżu na szczycie Nadelhorn o wysokości 4327 m n.p.m. Wejście od schroniska na szczyt zajmuje około 4 godzin. Zejście tą samą drogą zajmuje jeszcze mniej czasu i nie przysparza żadnych dodatkowych trudności.

Będąc na przełęczy Windjoch warto pokusić się o pokonanie zaledwie kilkudziesięciu metrów wysokości i dodatkowo stanąć na szczycie Ulrichshorn (3925 m).



W najwyższym punkcie zdjęcia widoczne jest schronisko – tak blisko i jednocześnie tak daleko



Widok z trasy do schroniska



Niebieski szlak do schroniska



Drabina na szlaku do schroniska



Nasze schronienie



Widok z miejsca biwaku



Odpuzynek w drodze na szczyt – tu za skałą trochę mniej wieje



Już ostatnie metry!



Na szczycie Nadelhorn



Dream Team

Proste, prawda?

Powyższy opis jest zgrubny lecz prawdziwy i można czytając go dojść do wniosku, że Nadelhorn to kolejny „jeden z najłatwiejszych czterotysięczników”. Rzeczywiście poszło nam z nim „łatwo”, przynajmniej jak na cel tej rangi. Ale co to dokładniej oznacza? Jeśli ktoś jest ciekaw to zapraszam do przeczytania poniższej relacji.

Dzień 1

Wyruszamy z parkingu z pełnym ekwipunkiem, czyli jedzenie na parę dni, namiot, śpiwór, materac itp. Plecaki mimo to nie przygniatają, właściwie niespecjalnie nawet przeszkadzają po ostatnich modyfikacjach listy. Z pakowaniem jest trochę tak jak z chodzeniem z koszykiem po supermarkecie. Jest masa produktów, które wydają nam się tak cholernie potrzebne, a przecież wpadliśmy tylko po musli i nic więcej.

Co do trasy prowadzącej do schroniska Mischabelhütte (3340 m) – nie jest to standardowy szlak, jaki znamy z polskich gór.

Początkowo prowadzi zakosami ścieżką, potem przechodzi w niemal wspinaczkę. Mocno eksponowany teren, w najniebezpieczniejszych miejscach zaopatrzone w stalowe liny, klamry, a nawet drabiny. Już przy wejściu na niego tabliczka ostrzega, że jest to trasa tylko dla doświadczonych górolazów bez lęku wysokości.

Pokonanie 1600 m przewyższenia dzielących schronisko od parkingu zajmuje nam zaledwie 4,5 h (z pełnym wyposażeniem biwakowym!). Odczuwamy jednak spore zmęczenie i po rozbiciu namiotu idziemy natychmiast spać, gdyż wszyscy troje potrzebujemy regeneracji. Pozwolę sobie przypomnieć, że za nami jest całonocna podróż samochodem.

Wielkie brawa dla Agi, która napędzała tempo udowadniając, że ostatnie treningi przynoszą skutek. Jeszcze nigdy nie widziałem jej tak zorientowanej na szybkość.

Dzień 2

Z wysokości, na której znajduje się schronisko wychodzimy o godzinie 5-tej rano. Połowa drogi to stroma, skalna grań, a następnie wchodzimy związani na lodowiec. Po drodze jest jedynie parę szczelin, które mogą stworzyć zagrożenie. Początkowo lodowiec jest płaski, a następnie po śnieżno lodowym stoku podchodzimy do góry na przełęcz. Po 1h45' stajemy na przełęczy Windjoch. Jeśli ktoś myśli, że wstrzymywanie się z sikaniem do przełęczy z wiatrem w nazwie jest dobrym pomysłem to zapewniam – nie jest. Koniec końców, próbując jednocześnie odwrócić się od szlaku i ogarnąć sika, którego wiatr zawijał o 180 stopni, panikuję i ostatni sik leci w spodnie. Takie rzeczy potrafią zburzyć motywację.

Granią podążamy po wydeptanym śladzie i szybko zdobywamy wysokość. Jest jednak okropnie wietrznie i zimno. W końcu Windgrat – Wietrzna Grań. Wyciągam cieplejsze rękawice, ponieważ palce u rąk mam już okropnie zmarznięte. Podobnie jest z palcami u nóg, ale te niestety wkrótce pełnią już

zupełnie pasywną rolę, gdyż czucia nie potrafię w nich odzyskać. Mam to gdzieś tym razem – zobaczę później co się stanie. Albo się wraz ze wschodzącym słońcem rozgrzeją, albo odmrożą na amen. W obydwóch przypadkach będę raczej żył, w końcu to nie jest zima w Karakorum.

Lodowaty wiatr smaga po twarzy, zamraża skórę i tamuje oddech. Zakładam maskę na twarz i jest o wiele lepiej. Przed nami para wspinaczy zawraca i mija nas bez słowa. A my idziemy jak jeden organizm, prawdziwy Dream Team – Dziku, Aga i Tomek. W jednym z trudniejszych miejsc stajemy przybłokowani przez grupę – 3 niemieckojęzyczne dziewczyny z przewodnikiem. Do tej pory szedłem pierwszy i decyduję się czekać. Trwa to jednak bardzo długo i Aga zmienia kolejność w rozgrywce. Idzie jako pierwsza, sprytnie wymija przewodnika z grupą i wkrótce znów możemy piąć się do góry. W tym układzie raz dwa stajemy na wierzchołku. Jest małutki, pomieści zaledwie 2-3 osoby. Cieszymy się, robimy zdjęcia i schodzimy nieco poniżej. Tym bardziej, że właśnie dotarła do nas wspomniana grupa.

Pytam przewodnika – ist das Gipfel? Is it Summit?

On odpowiada – tak, to jest Szczyt.

Nachyla się do mojej naszywki na kurtce i pyta – Dziku?

– Tak – odpowiadam – Dziku, a pan skąd?

– Zakopane!

[Część druga TUTAJ](#)

PS. Lista wszystkich alpejskich 4-tysięczników [TUTAJ](#).